

# Kronika tygodniowa.

Zaczyna się już jesień i to jesień prawdziwie nasza, to jest wcale nie piękna, ale połączona z deszczem i błotem, wobec czego koniecznym jest zaopatrzenie się w parasol i kalosze, kogo naturalnie stać na to, gdyż czasy stają się coraz cięższe. Na domiar złego wierzyliście zachodni chcą koniecznie, by galicyjskie moratorium, które przedłużono do dnia trzydziestego września, już nie było odnawiane, wobec czego przyjdzie człowiekowi chyba powiesić się lub ogłosić niewypłacalność.

Adwokaci natomiast cieszą się z tego, nadejdzie bowiem dla nich czas prawdziwego żniwa i na tę intencję odpowiadają już nowennę do swojego patrona, jak on się jednak nazywa, nie wiem. Żaden nie chciał mi tego powiedzieć, choć pytałem się tego i owego.

Z chwilą, gdy skończy się rzeczywiście moratorium, ożywi się także ruch na czarnej giełdzie, obecnie prawie zupełnie zamarty, jeśli zaś sprawdzi się nadto obietnica, iż otworzą twierdzą, możemy się spodziewać masowego powrotu naszych braci możeszowego wyznania, którzy w swoim czasie, gdy było w Krakowie dla nich trochę za gorąco, „wyewakuowali się” na zachód, głównie do Wiednia. Podobno bawili się tam nie najgorzej i robili wcale dobre interesy, o co gniewali się Wiedeńczycy, a zwłaszcza pan burmistrz Weisskirchner, który jest, jak powiadają „paskudnym antysemitą”.

Kto więc z czarną giełdą utrzymywał przedtem stosunki i ma tam swych „krewnych”, niech pamięta, że odtąd przejście przez Grodzką ulicę i koło kościoła św. Wojciecha nie będzie już tak bezpiecznym, jak dotąd.

Wobec powrotu sporej liczby mieszkańców rozszerzonego Krakowa drożyzna stanie się jeszcze większą, co nie jest wcale miłą perspektywą dla ojców rodzin, nie wiedzących już dzisiaj, jak związać koniec z końcem.

Zazdroszczę kawalerom, o ile są jeszcze w Krakowie takie istoty, każdy bowiem, gdy przyjdą nań ciężkie czasy, może sobie znaleźć jakąś posadną panią lub ciepłą wdówkę, a jest obecnie w czym wybierać!

Onegdaj spotkałem jednego z mych znajomych, rozanielonego. Wychodził właśnie ze sklepu z kwiatami przy ulicy Szewskiej, za nim ekspres niósł bukieci, niczem miotłę.

Zaczepiłem go naturalnie, bo to kronikarz jest zawsze ciekawy, i pytam:

— Ho! ho! Bukiet! A wolno wiedzieć dla kogo?

— Dla narzeczonej!... — odpowiedział.

— A dla czyjej?

— Naturalnie, że dla mojej!

— Więc pan się żeni?

— Tak jest...

— W takim razie gratuluje! Panna, czy wdowa?

— Panna!

— Pieniążki są?

— Ma grube hopy!... Trzysta koron w gotówce!

— I pan to nazywa grubymi hopami?

— A cóż pan chciał? Ja od dwu lub trzech lat nie widziałem w kupie tyle pieniędzy...

Pomyślałem sobie, że on może i ma rację i żałowałem, że i ja nie mogę się oglądać za taką dobrą partią, gdyż pocziwa Weronisia w żaden sposób nie chce mnie osierocić, choć kilku Czytelników zapytywało mnie już ustnie i listownie, kiedy to nastąpi.

Gdybym wiedział, powiedziałbym, niestety, sam dotąd nie wiem, a pytać jej nie chcę. Gotowa mi zrobić znowu awanturę, jako popędliwa niewiasta, a ja bardzo cenię spokój domowy, zwłaszcza, że, jak już w poprzedniej kronice wspominałem, zawarliśmy przymierze zaczepno-odporne w pływalni w Parku Krakowskim na popisie.

Nieszczęścia jednak nie chodzą pojedynczo, ale zawsze przynajmniej w parze.

Otóż, do owego moratorium, którego zniesienie będzie miało dobre i złe strony, jak wyżej wykazałem złych jednak więcej, przytoczyło się i podrożenie piwa, co nastąpić ma już w dniu pierwszego października, to jest, z początkiem czwartego kwartału. Powodem słaby zbiór jęczmienia, tak nas przynajmniej zapewniają gazety.

Cios to srogil! Ugodzi on w nasze kieszenie, szynkarze natomiast nie będą wcale poszkodowani, choć będą narzekać, jakie oni to straty ponoszą. Ale jest to narodek bardzo przemysłowy, o czym zresztą mieliśmy się sposobność już nieraz przekonać. Gdy spirytus podrożał o dwadzieścia halerzy na

litrze, oni na kieliszku podnieśli cenę prawie o dwa centy i jeszcze biadali, ile to dokładają do interesu.

Tak samo robią piekarze i rzeźnicy. Niedawno jeden z nich narzekał przedemną na ciężkie czasy.

— Złe panie łaskawy! — powiadał. — Przyjdzie człowiekowi już skapać! Ani myśli dać „wizo” koronkę, o „majzlu” zaś ani mowy... A człowiek chce się przecież czasem po pracy rozerwać...

— Mój Boże! — pomyślałem sobie — jabym też siadł czasem do ferbelka, by podać rękę szczęściu, choć ono się do mnie z zasady tyłem odwraca, nie wiem jednak, czy zdobyłbym się na „wizo” pięciocentowe... Niema to, jak być dzisiaj przemysłowcem, do bani z całym akademickim wykształceniem. Bo i cóż komu przyjdzie z tego, że może paradować w mundurze, wziętym u krawca na kredyt, gdy w kieszeni pustki?... Uważałbym się dziś za człowieka szczęśliwego, gdyby mnie byli „wylali”, jako nieuka, z klasy pierwszej lub drugiej. Nie byłoby się wprawdzie wówczas obeszło bez nieporozumienia z ojcowskim cybuchem, do dziś byłbym o tem już zapomniał, wiedziałbym natomiast, że mam pieniądze i znaczenie, mogę nawet kandydować do Rady miejskiej i nie potrzebuję się użerać z kamienicznikami, którzy na każdym kroku czyhają na człowieka i radziłyby żywcem zerwać mu skórę z grzbietu.

Rozmawiałem kiedyś „pod Obrazem” z jednym z takich panów, który dziedzicznie obciążony jest kilku realnościami (wciaż powiada, że przynoszą tylko stratę i zmartwienie, choć po jego okragłej postaci nie znać tego wcale), nie licząc parcel budowlanych i tym podobnych interesów.

Jak zwykle przy bombce zgadło się o ciężkich czasach. W miarę tego, jak wpuszczaliśmy do żywota jedną po drugiej, rozwiązywały się nam jezyki, narzekaliśmy też na wszystko razem i na każdą rzecz z osobna.

Wreszcie zesłaliśmy na piwo. — A wie kochany pan radca dobrodzieja, — ja mówię do niego — że od pierwszego października podrożeje piwo!

— Oj, wiem, wiem!... Z tego właśnie powodu podnoszę czynsz mym lokatorom i już ich o tem zawiadomiłem, zaręczając jednak, że to dzieje się po raz ostatni...

— Tak! Tak! Rozumiem!... Ostatni raz w tym roku!

— Cóż pan chciał?... Przecież nie ostatni raz w życiu! Kto chce mieć dach nad głową, niech płaci.

— Racya! Racya! Święte słowa radcy dobrodzieja! Gdybym tak miał pieniądze, kazałbym je złotem literami wyrznąć na marmurze... Ja tam jednak, o ile mnie to znów dotyczy, jestem trochę innego zdania i właśnie z powodu owego podrożenia piwa, mam zamiar od października przestać wogóle płacić czynsz memu dusicielowi... pardon... właścicielowi realności...

— To pan wogóle płaci?

— No... nie tak często... w każdym razie jednak płacę, choć jestem literatem. Wychodzę przecież z założenia, że pieniądze psują ludzi, dają bowiem sposobność do różnych ekstrawagancji, ja zaś, dobrze życząc memu mieszkaniodawcy, nie chciałbym, by poszedł na potępienie... O, bo ja mam bardzo dobre sercel...

— Nie widać tego!

— Naturalnie!... Bo to rzecz wewnętrzna! Musiałby mnie kochany radca przenicować...

— Alboż ja to krawiec?... Figlarz z pana literaty... Ale ja was lubię i nieraz funduję któremuś bombkę, bo wiem, żeście z przeproszeniem dziady...

— Pocziwy radca dobrodzieja! W najbliższej kronice poświęcę mu też gorące wspomnienie, a po najdłuższym, daj Panie Boże, życiu, palnę taki nekrolożek, że ludzie będą zazdrościć i każdy będzie chciał na gwałt umierać, by tylko tak napisać o nim...

Wracając do owych panów, o których wyżej zacząłem, a do których i mój interlokutor się zalicza, muszę wspomnieć jeszcze o zdarzeniu z przed lat kilku.

Idę sobie ulicą z jegomościem, nie pomnę już, czy to był piekarz, czy rzeźnik, w każdym razie tak zwany przemysłowiec i rozmawiamy w najlepsze. Z drugiej strony ulicy idzie jakiś chudeusz w dość wytartym surducie i trochę wykrzywionych butach.

Mój towarzysz kłania mu się bardzo grzecznie, tamten odpowiada na ukłon jeszcze grzeczniej, prawie że z uniżonością.

— A to kto? — pytam.

— To, widzi pan, jest profesor — on mi na to — który dał mi z łaciny dwóję w pierwszej klasie. Ojciec zerznął mi wtedy skórę i oddał do terminu i tylko dzięki temu wyszedłem na ludzi i mam

jakie takie znaczenie w mieście. Ja mu też tego nie zapomnę do śmierci... Nieraz mu skredytuję w sklepie, a czasem to tam człowiek i pożyczę przy końcu miesiąca jaką piąteczkę... Ale muszę przyznać, że oddaje zawsze metalem!...

Gdyby tak w ślady owego przemysłowca szli i inni, nie mielibyśmy w naszym społeczeństwie takiej masy proletariatu inteligencji!... Ale, jakżeby to wyglądało i coby ludzie na to powiedzieli, gdyby tak syn n. p. pana kancelisty, nie mówiąc już o urzęduku conceptowym, po skończeniu dajmy na to czterech klas, a potem szkoły jakiej zawodowej, poświęcił się rękodzielnemu lub przemysłowi... Takiego ojca wytykanoby palcem.

Na zachodzie dzieje się inaczej i dlatego tam kwitnie dobrobyt, gdy tymczasem u nas pokutuje tylko bieda i nędza. Z ostatniego sprawozdania ministerstwa oświaty widzimy, że w Galicyi największy procent młodzieży pobiera wykształcenie klasyczne (kandydaci na urzędników), potem dopiero idą szkoły realne, a daleko za niemi, na samym końcu, szkoły zawodowe.

I teraz, na początku nowego roku szkolnego, można było stwierdzić to samo. Do wrót gimnazjów puka największy procent młodzieży, ale z pomiędzy tych, wprawdzie nie wezwanych, bardzo mało będzie kiedyś wybranych. Taki biedny urzędniczyna, choć dochrapie się z czasem i złotego kołnierza, pieniądze będzie mieć dopiero wtedy, gdy się bogato ożeni!

Władze szkolne nawołują też rodziców, by zwłaszcza teraz oddawali dzieci do zawodów praktycznych, jest to jednak po większej części głos wołającego na pustyni. Każdy ojciec powiada, że po wojnie będą stosunki awansu daleko lepsze i dlatego chce, by syn poświęcił się karierze urzędniczej.

Czy się jednak nie zawiedzie?

Dajmy temu przecież spokój, jestem bowiem pewny, że moje słowa nie na wiele się przydadzą, co najwyżej narażę się na to, iż ten lub ów Czytelnik nazwie mnie zacofańcem, albo powie sobie w duchu, że kronikarz może sobie pisać o swojej Weronisi i innych tego rodzaju okropnościach, a prywatnym sprawom P. T. Publiczności powinien dać spokój, czyli nie pchać swego nosa między drzwi.

Święta prawda, odpowiedziałbym na to, wobec czego zmieniam temat, ponieważ jednak zdaje się braknie już miejsca na poruszenie innych kwestyi, pozwolę sobie tylko na zakończenie zaznaczyć, że sytuacja ogólna światowa pozostaje na razie niezmienną, choć tak zwane jaskółki pokojowe pojawiają się coraz częściej na horyzoncie. Czy jednak przyniosą one nam pokój, tego na razie nikt powiedzieć nie jest w stanie, choć każdy pragnie z całego serca, by wojna już się raz skończyła, wyłazi nam bowiem bokami i psuje humor nawet najweselej usposobionym ludziom.

Darujcie więc Szanowni Czytelnicy kronikarzowi, jeśli był dziś może trochę nudny, ale to nie jego wina, zwłaszcza, iż obiecuje, że sę na przyszłość poprawi.

**C. k. Zarząd zdrojowy** zawiadamia, że Zakład kąpielowy w Krynicy został otwarty z dniem 20 lipca b. r. Ceny kąpiel niższe według taryfy sezonu I. do 1 września b. r. Taksa zdrojowa niższa. Stosunki sanitarne znakomite.

## „Framos” a Lwów.

Że rzetelny towar wyrabiany w kraju może liczyć na powodzenie wśród odbiorców — najlepszym tego dowodem jest następujący list, który otrzymałem z ukochanego Lwowa.

Lwów, d. 24 lipca 1915.

Wielmożny Panie!

Bardzo nam dał się odczuć brak tutek „Framos”, za którymi cały Lwów tęskni. Prosimy przeto nadśleć o ile możności jak najrychlej.

Z poważaniem J. Wyszatycki, ul. Nowy Świat 18.

Wobec tego oznajmiam, że we wszystkich miejscowościach z którymi komunikacja istnieje, tutki „Framos”, „Salvesol”, oraz bibułki „Pobudka” nabywać można.

Kraków.

Mr. Wł. Bełdowski.

